

* * *

Józef przypomniał sobie jeden z wieczorów sprzed dwunastu lat. Drobną dziewięcioletnią dziewczynką siedziała przy stole w kuchni i z apetytem pałaszowała ziemniaki okraszone słoniną. Obok jej talerza stał kubek z mlekiem, lecz na razie go nie tknęła. Wiedział dlaczego. Nie chciała mieszać smaku poszczególnych potraw, każdym z nich zamierzała delektować się z osobna. Siedzący naprzeciwko niej o dwa lata od niej młodszy chłopiec zachowywał się zupełnie inaczej. Każdą łyżkę ziemniaków popijał mlekiem. Po chwili jego kubek był pusty.

– Mamo, nalej mi jeszcze! – zawołał, kiedy tylko zobaczył puste dno.

– Z mamą nie rozmawia się w ten sposób, Eryku. Nie słyszałem słowa *proszę* – strofował go Józef automatycznie. W rzeczywistości niewiele w tej chwili interesował się synem, ukradkiem przyglądał się Marcie.

„Mogłaby mieszkać z nami na stałe. Przecież i tak coraz częściej bywa tu na kolacji, a czasem zostaje nawet na noc. To już duża dziewczyna, samodzielna, mogłaby Annie pomagać. Kiedy urodzi się dziecko, żonie przydałaby się pomoc”.

Anna, z brzuchem wysuniętym do przodu, podeszła do stołu i postawiła na nim dzbanek mleka. Potem usiadła i nabrała ziemniaki na talerz.

– To mleko jest nie tylko dla ciebie, Eryku – zwróciła uwagę synowi. – Również Martusia może sobie dodać, jeżeli będzie miała ochotę.

– Mnie na pewno wystarczy to, co mam – zapewniła pospiesznie dziewczynka. Jej twarz zarumieniła się. „Wstydzę się, że ponownie jest na kolacji u nas”. – Józef w mig zrozumiał powód jej zmieszania. Miał ochotę ją przytulić. W tym momencie tak bardzo była podobna do Emy. Była p r a w i e

jego córką. Nie może jej przecież zostawić na pastwę losu.

„Co by powiedziała Anna, gdybym zaproponował, byśmy zabrali Martę do nas na stałe? Lubi ją przecież. Gdy dziewczynka z płaczem przybiegnie w środku nocy, zawsze bez słowa sprzeciwu ją przygarnie”. Spojrzał na żonę, ale ta jadła kolację z głową pochyloną nad talerzem.

„Nonsens – uświadomił sobie. – Nim zacznę na ten temat rozmawiać z Anną, muszę pójść najpierw do ojca dziewczynki. Czy mi się to podoba, czy nie, jego nie da się ominąć”.

* * *

Marta po rozmowie z Józefem również nie mogła zasnąć.

Przypomniała sobie ten sam wieczór sprzed dwunastu lat. Siedziała w tym samym domu, w którym teraz ma już swoje łóżko. Przy kuchennym stole zajadała z apetytem ziemniaki ze słoniną. Obok talerza stał kubek z mlekiem. Zostawiła go na później, by delektować się jego smakiem. To był jej pierwszy porządny posiłek od kilku dni. Jej tato gotował mało pożywne zupy z chlebem i czosnkiem, do których ona kroїła pietruszkę i marchewkę. Kawałek mięsa czy wędliny miała w ustach tylko wtedy, gdy dostała go u ciotki Anny.

Tej nocy ponownie została w domu u ciotki i wuja. Tak ich wówczas nazywała. Ciotka przygotowała dla niej posłanie w komorze. Pogłaskała ją przed snem po twarzy, odgarniając jej z czoła włosy. Marta dotknęła jej wypukłego brzucha.

– Będę mogła przychodzić przewijać bobasa, kiedy się urodzi? – spytała nieśmiało.

Anna się uśmiechnęła.

– Na pewno. Przyda mi się pomocniczka.

Marta zasnęła z uśmiechem na ustach. A jednak w środku nocy obudziła się z krzykiem. Nad jej posłaniem pochylał się

ojciec. Zalatywało od niego wódką, w rękę trzymał butelkę większą od wszystkich, jakie dotąd widziała. Nie wątpiła, że chce ją uderzyć. Zaczęła krzyczeć:

– Nie!!! Błagam, tato, nie!!!

Chciała uciec, ale nogi zaplątały jej się w kołdrze. Nie mogła się podnieść z łóżka.

– Marto! Martusiu! – Ktoś trząsał nią tak długo, aż wreszcie się obudziła. W komorze nie było ojca, lecz wuj Józef. – Co ci się przysniło?!

Wstydziła się opowiedzieć mu o ojcu, który chce ją walnąć butelką. Wuj łatwo by się domyślił, że jej sen to obraz rzeczywistości, w której przyszło jej żyć.

– Nic, tato, nic takiego. Taki sobie głupi sen – odpowiedziała wymijająco. I uświadomiła sobie, że zamiast *wuju* powiedziała do niego *tato*. Całe szczęście, że w komorze było ciemno i nie widział rumieńca, który oblał jej twarz.

– Przepraszam, wuju – wyszeptała. – Pomyliłam się...

– Nic nie szkodzi – zapewnił ją szeptem. Ścisnął jej rękę, a potem powoli się wyprostował i wyszedł z komory.

„Zaraz jutro porozmawiam z Rudolfem, a potem z Anną. Ta dziewczyna nie może zostać tam, gdzie jest” – postanowił, gdy wrócił do sypialni i położył się obok Anny, której, o dziwo, krzyk Marty wcale nie obudził.

„Powiedziała do mnie *tato*. Widzisz, Emo? To ja mogłem być ojcem twojej córki, od początku mogło jej być lepiej. Podjęłaś głupią decyzję”. – Ten wyrzut skierował w duchu do kobiety, która od dziewięciu lat już nie żyła.

* * *

Rudolf heblował jakąś deskę. Prawdopodobnie chciał z niej zrobić półkę. Odkąd z powodu pijaństwa stracił pracę

w fabryce Jäkla, próbował zarabiać na życie, wykonując na zamówienie proste meble. Praca z drewnem zawsze go pociągała, od dawna miał w domu mały warsztat wyposażony w podstawowe narzędzia. Problem w tym, że klientów miał niewielu. Kto chciałby zamawiać coś u stolarza, który nagminnie nie dotrzymuje terminów, a zdarza się nawet, że weźmie zaliczkę, którą później zamiast na materiał wyda na wódkę?

– Masz dla mnie zlecenie? – spytał Rudolf Józefa, nie podnosząc wzroku znad pracy.

Józef próbował spojrzeć na niego bez uprzedzeń – abstrahując od faktu, że przed dziesięciu laty uwiódł jego dziewczynę, nie widząc w nim alkoholika, który nie umie sobie poradzić z życiem i przez to krzywdzi własne dziecko.

Nie potrafił. Nie lubił Rudolfa, odkąd go znał. A poznał go w drugiej klasie szkoły ludowej, kiedy to ośmioletni Rudek razem ze swoją świeżo owdowiałą mamą i starszą siostrą przeprowadził się do dziadków, do Żywocic.

Józef był w dzieciństwie raczej nieśmiałym, wystraszonego chłopcem. Zadziorny, nieustannie szukający zwady Rudolf napawał go lękiem. Wolał go unikać. Przez wiele lat mu się to udawało. Niestety, ich losy w końcu się skrzyżowały. Józef miał wówczas dwadzieścia dwa lata i był zakochany w Emie, koleżance z chóru młodzieżowego. Rudolf, choć niespecjalnie umiał śpiewać, także zapisał się do chóru. Józef podejrzewał, że zachętą były dla niego ładne i zgrabne chórzystki. Mógł wybierać.

I wybrał Emę, dziewczynę Józefa. A ona wybrała jego.

Po ślubie wyprowadzili się. Józef nie wiedział dokąd. W niedużej chałupie w Żywocicach nie było miejsca na założenie nowej rodziny. Siostra Rudolfa już kilka lat wcześniej

wyszła za mąż. Miała troje małych dzieci i spodziewała się narodzin czwartego. Razem z rodziną siostry mieszkała mama.

Józef w tym czasie poznał Annę. Zaraz po kilku pierwszych randkach zorientował się, że jest wspaniałą dziewczyną i będzie bez wątpienia dobrą żoną. Nie musiał żałować, że Ema wybrała Rudolfa. A jednak nie potrafił im tego zapomnieć.

Nie minął nawet rok, a Rudolf pojawił się na powrót w Żywocicach. Bez żony, za to z małą córeczką. Okazało się, że Ema zmarła przy porodzie. Sam nie był w stanie opiekować się dzieckiem, dlatego wrócił do siostry i matki. Wszyscy razem gnieździli się w małym domu, po kilka osób w jednej izbie. Mimo to, paradoksalnie, były to dla małej Marty najszczęśliwsze lata. Ojciec już wówczas lubił co prawda zaglądać do kieliszka, ale swój nałóg trzymał w ryzach. Babcia i ciocia zastępowały dziewczynce mamę, której nie poznała, całymi dniami bawiła się z kuzynami i kuzynkami.

A potem, z roku na rok, życie Marty i jej ojca zmieniało się na gorsze. Babcia zmarła, kiedy Martusia miała cztery lata, dwa lata później rodzina ciotki wyprowadziła się do Pragi. Wuj, kolejarz, otrzymał w stolicy intratną posadę. Namawiali Rudolfa, by spakował manatki, zabrał córkę i wyjechał z nimi. W stolicy bez trudu znajdzie pracę, a Marta nadal będzie widywała się z rodziną, z którą tak bardzo się żyła.

Ale Rudolf był uparty. Nigdzie nie pojedzie. Zostanie tu, na swoim.

Powoli staczał się na dno. W domu brakowało podstawowych rzeczy – jedzenia, opału. Nie miał pieniędzy, by kupić Marcie buty do szkoły, zmuszona była nosić zbyt ciasne sukienki, z których dawno już wyrosła. Czasem udało mu się zarobić jakiś grosz, ale większość zarobku pochłaniał alkohol.

Zżerał się. Kochał córkę i chciał dla niej dobrze. Ale nałóg był silniejszy. Godzinami, z butelką wódki w ręce, rozmawiał ze zmarłą żoną, zarzucając jej, że zostawiła ich na pastwę losu. Dopóki był trzeźwy, toczył swój monolog w myślach, potem szeptem, wreszcie – kiedy był już całkiem pijany – z jego ust wydobywał się niezrozumiały bełkot. Marta schodziła wówczas ojcu z drogi. Wiedziała już, że gdyby przeszkodziła mu w rozpamiętywaniu domniemych krzywd, cisnąłby w nią butelką. Nieraz tak przecież robił.

* * *

– Nie mam żadnego zlecenia – powiedział Józef owego wrześnieowego dnia 1932 roku, stojąc w warsztacie Rudolfa. – Chcę z tobą porozmawiać. O Marcie.

Rudolf nie odłożył hebla. Jego twarz przybrała zawzięty wyraz.

– Wiesz przecież, że często przychodzi do nas. Bywa na kolacji...

– Znów się wywyższasz?! Nie musisz mi przypominać, że jestem nic niewartym bezrobotnym gnojkiem, podczas gdy ty jesteś właścicielem prosperującego warsztatu! – przerwał mu Rudolf. Narzędzie niedbale rzucił w kąt. Wyprostował się i podszedł do Józefa. Ten instynktownie cofnął się o krok.

– Wcale nie mam zamiaru się wywyższać. Uspokój się – powiedział Józef, siłąc się na ugodowy ton. – Niczego ci też nie wypominam. To moja żona zaproponowała kiedyś Martusi, że może do nas wpaść, kiedy tylko ma ochotę. I dziewczyna z tego korzysta. Nie o tym chciałem mówić.

– A więc o czym? – Mężczyzna usiadł na drewnianej skrzynce, która w warsztacie zastępowała mu krzesło.

– Chętnie zabrałbym Martę do siebie na stałe.

Rudolf przez chwilę milczał, wpatrując się w przybysza.

– Mówisz zabrałbym. A co Anna? – spytał wreszcie. Tym razem był trzeźwy i myślał logicznie.

– Anny na razie nie pytałem, ale jestem przekonany, że się zgodzi. Chciałem wprawdzie porozmawiać z tobą.

– Dlaczego tak ci zależy, by mieć Martę u siebie? – spytał Rudolf podejrzliwie.

– Dziewczyna w tym wieku potrzebuje matki. Zresztą dla nas jej obecność też byłaby korzystna. Pomagałaby w gospodarstwie... Wkrótce urodzi nam się dziecko i...

– Skoro urodzi ci się dziecko, to nie próbuj mi zabierać mojego! Wiem dobrze, o co ci tak naprawdę chodzi, skurwysynu! Chcesz zabrać córkę Emy, by mi udowodnić, że w końcu Ema jednak do ciebie należy!

Rudolf wpadł w furię. Złapał za dłuto – pierwszą lepszą rzecz, która mu się nawinęła pod rękę – i cisnął nim w gościa. Ten ledwo zdążył uskoczyć w bok.

„Rozmowa z nim nie ma najmniejszego sensu” – pomyślał z rezygnacją Józef. Odwrócił się na pięcie i wyszedł z mieszczącego się w piwnicy warsztatu. Odchodząc, obrzucił wzrokiem walącą się chałupę, o którą jej właściciel od lat nie dbał. Nie dbał o nic, nawet o siebie.

„To dłuto” – uświadomił sobie Józef w drodze do domu i poczuł, jak nogi się pod nim ugięły. Rudolf był trzeźwy (albo prawie trzeźwy), a jednak odważył się cisnąć ostrym narzędziem w dorosłego mężczyznę, który bez problemu mógł stawić mu czoło. Jakie szanse ma wobec niego dziewięcioletnia dziewczynka, gdy jest pijany i w ogóle nie panuje nad sobą?

* * *

„Dlaczego tak łatwo zrezygnowałem? Dlaczego nie próbowałem dalej z nim negocjować?”

Te pytania nie dawały mu spokoju, gdy miesiąc później przyglądał się bezradnie, jak pielęgniarka zmienia dziewczynce opatrunki. Marta płakała z bólu, lecz odwracała twarz, by nie widział jej łez. Wstydziła się tak samo jak wtedy, gdy przez pomyłkę powiedziała do niego *tato*. Albo wtedy, gdy zbyt łapczywie pałaszowała ziemniaki ze słońcą.

Za kilka lat będzie z niej młoda kobieta. Czy odważy się podkasać spódnicę i pokazać mężczyźnie, którego pokocha, całe swoje ciało? Jej matka była piękną kobietą, mogła przebierać między chłopakami. Marta też będzie piękną kobietą. Ale nie do końca.

* * *

Józef otrząsnął się z bolesnych wspomnień. Była już trzecia nad ranem. Niedługo będzie musiał wstać i iść do warsztatu. Czekają na niego mnóstwo butów do naprawy. Sen jednak nadal nie przychodził. Odeszły myśli związane z Martą, przyszły nie mniej dręczące. O Eryku.

„Może jednak nie powinienem był podpisać volkslisty? Chciałem dobrze, chciałem, by Anna, Eryk i Marta mieli co jeść, by nie zabrali nam warsztatu, nie wywieźli do Polenlagru czy na prace przymusowe. Tyle rodzin już musiało opuścić swe domy. Tyle osób jest w więzieniach... Nie można mieć wszystkiego. Nie mogę wciąż sobie zarzucać, że Eryka zabrali do wojska”.

Myśli, jak spłoszone konie, w ogóle nie słuchały już Józefa. Zatoczyły krąg i wróciły do punktu wyjścia – do Marty. „To ona ma mi za złe, że Eryka nie ma w domu. Marta bardzo kocha swego brata”.

„J a k właściwie go kocha?”

* * *

Następnego dnia po tamtej rozmowie z Rudolfem Józefa przez cały dzień nie było w domu. Pomagał znajomemu przy świnobiciu w gospodarstwie znajdującym się na drugim końcu wioski. Wracał do domu na rowerze, kiedy już się ściemniało. Eryk wybiegł mu naprzeciw.

– Tato, zabierz mnie na rower! – wołał.

– Co nowego w domu? – spytał Józef, gdy synek usadowił się na ramie.

– A... nic specjalnego.

– Co robi mama?

– Nic.

– Nic? – zdziwił się Józef. Anna nigdy nie próżnowała. Chłopiec wzruszył ramionami i o mało nie stracił równowagi.

– Mówiła, bym się grzecznie bawił na dworze, że się trochę położy, bo jakoś niedobrze się czuje... Tato, czy wiesz do domu krupnioki?

– No pewnie – odparł Józef zniecierpliwiony. Zaczął się niepokoić o Annę.

Zastał ją w sypialni, na wpół siedzącą, na wpół leżącą.

– Coś nie tak, Anusiu?! – zawołał, kiedy przekroczył próg.

– Bolał mnie brzuch i miałam mdłości, ale już jest lepiej – zapewniła. Zaczęła się podnosić. – Tylko... Muszę iść pilnie do wychodka.

Wyciągnęła rękę po sweter przerzucony przez oparcie kanapy i nagle zmartwiała.

– Cieknie – wyszeptwała. Sięgnęła ręką między uda. – To chyba woda... O Boże!

W kuchni panował już mrok. Józef pospiesznie zapalił lampę naftową – wtedy nie mieli elektryczności. W jej świetle zobaczył, że pod Anną robi się kałuża.

– O Boże – powtórzył jak echo. Żona miała rodzić dopiero za dwa i pół miesiąca.

* * *

Akuszerka, którą na szczęście szybko sprowadził, bo mieszkała niedaleko, od początku nie ukrywała, że to byłby cud, gdyby dziecko urodziło się żywe. A jeżeli nawet po porodzie miałoby żyć, to nie byłoby szansy, by się uchowało. Annie tego nie powiedziała, tylko Józefowi poszeptła na uboczu. Ale Anna nie była przecież głupia, wiedziała, że rodzi dziecko, które skazane jest na śmierć. Józef nie był pewien, czy ból, który ściągał poszarzałą twarz żony, był bardziej bólem fizycznym, czy też psychicznym cierpieniem.

Po dwóch godzinach wysunęła się główka, a za nią wręcz niewyobrażalnie chudziutkie ciało. Dziewczynka nie wydała głosu, nie była w stanie zaczerpnąć powietrza w nieprzygotowane jeszcze płucka. Zapadła głucha cisza. Słyszać było tylko delikatne pojękiwanie Anny.

Józef przyniósł święconą wodę. Co roku w Białą Sobotę nabierali ją w kościele do małej ceramicznej kropielniczki i przez cały rok trzymali w domu na wszelki wypadek. Teraz się przyda. Pokropił wodą leżące bezwładnie noworodka.

– Anno, ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego – powiedział przyduszonym głosem. Tak ustalili – dziewczynka miała otrzymać imię po matce.

Jego żona bardzo pragnęła córki. Wiedział, że jej stratę będzie przeżywała mocniej, niż gdyby urodziła martwego syna.

Kiedy maleńkie ciało spoczęło dwa dni później na

cmentarzu, Anna powiedziała do męża tonem nieznoszącym sprzeciwu:

– Musisz ponownie porozmawiać z ojcem Martusi. Weźmiemy ją do siebie. Będziemy mieli córkę.

Z dnia na dzień odkładał tę wizytę. Nie miał na nią czasu ani nastroju. Minął jeden tydzień, drugi, wreszcie cały miesiąc.

A potem nagle było za późno na negocjowanie z Rudolfem. Pijak powiesił się pewnej nocy na strychu własnego domu. O dziwo, tej nocy był w miarę trzeźwy. Na podłodze postawił świeczkę, by w ciemności umocować pętlę na belce pod sufitem. Włożył ją do wysokiego szklanego słoika. Wiedział, że już jej nie zgasi, zadbał więc o bezpieczeństwo. Na dole spała przecież jego córeczka. Dziewczynka, która zasługiwała na lepsze życie. „To będzie dla niej szok, kiedy mnie tu znajdzie. Ale może tak naprawdę się ucieszy? Na pewno nie zostanie bez rodziców. Józef i Anna zabiorą ją do siebie” – pomyślał z bólem, lecz zarazem z ulgą.

Szorstki sznur ścisnął jego gardło, ciało napięło się i zaczęło dyndać pod sufitem. Lewa noga, nad którą stracił władzę, zahaczyła o górną krawędź słoika. Nie widział już, jak płomień przewróconej świecy zaczyna lizać drewniane deski.

Marta spała na dole. Dobrze jej się spało tej nocy, ponieważ ojciec nie przeklinał, nie rozbijał butelek, nie robił hałasu. Było cicho i spokojnie.